

O złudzeniach w życiu

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

O ZŁUDZENIACH W ŻYCIU

Bolesław Prus

De profundis clamavi...

Bardzo dziś u nas łatwo usłyszeć młodzieńca, który z właściwym wiekowi zapałem rozprawia o wieczności siły i materji, nietrwałości słonecznego systemu, przemianie gatunków i innych tym podobnych kwestjach, o jakich nie śniło się dawnym filozofom. Niektórzy sarkają na to, ponieważ za naszych czasów tylko psy i konie interesowały młodzież; ja, cieszyłbym się, gdybym w tych rozprawach mógł dostrzec coś więcej niż djalektyczne ćwiczenia na temat uniwersyteckich lekcyj. Smucę się więc razem z innymi, wprawdzie nie tem, że jesteście od nas mądrzejsi, że z zimną krwią dowcipkujecie o rzeczach, które my przywykliśmy szanować, — ale tem, że dla teorii poświęcacie praktykę i że lekkomyślnie szastacie się z wielkimi zdobyczami nowszej wiedzy, zamiast je do życia stosować.

My, starzy, mówiąc o wypadkach życia codziennego, przypisujemy je woli bożej, albo też kapryśnemu losowi; zamłodu - wierzyliśmy tak samo. Niemniej jednak każdy z nas rozglądał się po świecie, badał ludzi i wypadki i myślał o tem, jakby z nich korzyść dla siebie wyciągnąć. Coprawda, nie mieliśmy też nic lepszego do roboty, bo natłok dzisiejszych teoryj, jeszcze nam głów nie zaprzętał.

Wy, młodzi, utrzymujecie głośno, że światem, społeczeństwem i jednostką rządzą nieugięte prawa; wołacie, że tylko pozytywne myślenie, że tylko postrzeżenie, doświadczenie i krytyka mogą ludzkość uchronić od błędów; - lecz jakże żyjecie sami? Nasze błędy dadzą się jeszcze na upartego wytłumaczyć ogólną wiarą w przypadkowość, niskim stanem oświaty w kraju, - lecz cóż wytłumaczy was, którzy nibyto od kolebki pozbywacie się złudzeń i połowę życia spędzacie nad nauką?

Mógłbym ci zacytować mnóstwo dowodów ludzkiej niepraktyczności, nieznamomości życia. Ograniczę się jednak na kilku z tego względu bardziej uderzających przykładach, że bohaterami są ludzie teoretycznie wysoko ukształceni, a którzy (o zgrozo!) we właściwym czasie najjaskrawszymi farbami malowali prawo walki o byt w naturze.

Paweł, kandydat nauk przyrodzonych, starał się w naszej okolicy o rękę panny Jadwigi. Bywał u niej nieczęsto, tłumacząc się nawałem pracy; nie przywoził podarunków, nie czytywał książek, nie mówił o swej miłości, ponieważ według niego w tej starożytnej metodzie zdobywania serc niewieścich jest dużo blagi. Wzamian za to mówił jej o prawie powszechnego ciężenia brył materialnych, — uczył, że miłość jest zjawiskiem, a raczej prawem, obowiązującym nie tylko ludzi, lecz osły, raki, żaby i tym podobne klasy istot żyjących, że człowiek jest przyrodnym bratem, nie zaś synem małpy, jak to mylnie utrzymują studenci niższych kursów. Na pociechę dodawał, że wszystkie nasze kobiety są źle wychowanymi lalkami i radził pannie, aby rzadziej się modliła, a częściej odczytywała „Przegląd Tygodniowy.”

Po półrocznych w tym sposobie zalotach oświadczył się stanowczo i dostał jeszcze bardziej stanowczego arbuza. Nadto, ojciec panny (człek zresztą dość naiwny), dał mu do zrozumienia, że

oddawna już chciał go prosić o przerwanie stosunków. Dziś Paweł zapuścił desperacką brodę i kompozytorskie włosy, ma minę rozbójnika i opinią człowieka wyrachowanego, bezbożnego, egoisty itd., choć znając go bliżej, wiem na pewno, że mógłby wszystkim pannom i paniom w okolicy dawać lekcje uczciwości, a naodwrot od nich wszystkich brać lekcje rachunków.

Stefan, filolog, ożenił się przed trzema laty z córką kapitalisty, który młodej parze na miodowe miesiące kupił folwark w rnojem sąsiedztwie. Jak się tam rządzą, nie wspomnę, - dość, że tego roku na 5-ty Jan wpadł do mnie młody dziedzic, prosząc nagwałt o pieniądze, ponieważ go chcą licytować.

— Dlaczego nie piszesz do teścia? — zapytałem.

— Widzisz, sąsiedzie dobrodzieju — mówi ów — teść dał, ale musiałem żonę wysłać do Warszawy i pieniądze się rozeszły.

— Trzebaż było do mnie wcześniej zgłosić się — powiadam — bo obecnie termin za krótki i nie zbiorę całej sumy.

— Widzisz, szanowny sąsiedzie, zwłóczyłem, rachując na teścia.

— Ano, to jedźże prędzej do teścia.

— Wczoraj już jechałem, panie dobrodzieju, alem pomyślał, że mi bez żony stary nie da i zawróciłem z drogi.

A niechże was kaczkę zdepczą z takim gospodarstwem. I to człowiek, który był w uniwersytecie!

Przed dwoma laty spotkałem Romana, magistra nauk matematycznych. Przy poznaniu się, jak zwykle, gadaliśmy o tem i owem, a głównie o biedzie między młodzieżą. Roman cytował dużo przykładów na dowód, jak trudno o chleb w Warszawie, a między innymi przytoczył i swoją historję.

Starał się on o posadę między bankierami, nie widząc innej przed sobą kariery. Włożył tedy frak, białe rękawiczki i chodził z patentem od kantoru do kantoru, szukając miejsca. Naturalnie, że nie dostał żadnego i zniechęcony wyjechał na guwernerkę.

Kiedym go zapytał, czy wie, w jaki sposób ludzie szukają posady, - szeroko otworzył na mnie oczy, a kiedym wspomniał o protekcji, o układach, o pośrednictwie kobiet, oburzył się.

- A jeżeli na innej drodze nie można dostać posady - rzekłem mu - a zaś mając posadę, nie można awansować - cóż pan na to?

- To wolę pójść do szewca niż do kantoru - odmruknął.

Pożegnałem go. Jaka szkoda, że ten dzielny chłopiec dawniej nie dowiedział się o sposobach szukania posady!...

Kiedy myślę o wypadkach podobnych, mimowoli pytam, co u tych ludzi zastępuje miejsce, znajomości życia? boć skoro są wrażenia z tej dziedziny zjawisk, muszą być również i jakieś kombinacje tych wrażeń. I rzeczywiście, są kombinacje. Ciągłe obijają się nam o uszy wyrazy: szczęście, nieszczęście, moje plany, moje cele, moja osoba, zdolności, środki, stosunki itd.; również często słyszeć można wcale przyzwoite poglądy na temat życia codziennego, — lecz na tem koniec. Jeżeli chłodno zechcesz zbadać, co się ukrywa poza temi wyrazami i zdaniem, na czem są oparte owe poglądy, przekonasz się, że miejsce pozytywnych wiadomości zajmują złudzenia, oparte na złudzeniach i prowadzące do złudzeń, jeżeli nie do zguby. Ogromna większość wszystkich klas społecznych ludzi się co do swych pojęć o szczęściu i nieszczęściu, co do swych planów, swych osób, zdolności i środków, a wreszcie i co do swych obowiązków. Jest to ogólna i w skutkach straszliwa niedoskonałość ludzkiego umysłu, wszyscy jej bowiem w rozmaitym stopniu ulegamy; lecz przekonać o niej ogół jest tak trudno, jak trudno dowieść prostakowi, że powietrze jest ciężkie i że ugniata każdego z nas z siłą 25,000 funtów.

Ale przejdźmy do dalszego ciągu.

Przed 15 laty dla dopilnowania interesów zamieszkałem w Lublinie, gdzie podówczas, znany ci Jan chodził do 5-tej klasy gimnazjum. Chłopiec często mnie odwiedzał i odtąd zawiązała się bliższa między nami znajomość. Ja, już w owej epoce człek zachodzący w lata, mówiłem mu o dawnych czasach, - on powierzał mi swoje pragnienia i zamiary, których miał zawsze pełno.

Jednego dnia powiedział mi, że bardzo lubi czekoladę i że wtedy tylko będzie zupełnie szczęśliwym, kiedy będzie mógł wypijać tyle czekolady, ile mu się podoba.

— Ileżbyś jej teraz wypił? — spytałem.

— Z dziesięć szklanek! — odpowiedział bez namysłu. Wziąłem go do cukierni i prosiłem, aby sobie dysponował, ile zechce. Chwilkę się wymawiał, rumienił, zapewniał o swoim szacunku, — wreszcie kazał podawać. Pierwszą filiżankę wypił z zachwytem, przy końcu drugiej spowaźniał, trzeciej nie dokończył i odtąd nie lubi czekolady.

Nauka ta jednak nie wpłynęła na jego charakter, był to bowiem chłopiec okrutnie egzaltowany w pojęciach o naturze szczęścia, choć nieustannie rozczarowywał się i obiecywał poprawę. Opowiem ci wypadek, w którym młodzian ów przeszedł samego siebie.

Już po ukończeniu szkół i po wypróbowaniu tysiąca rodzajów zajęć — w 20-tym roku życia zakochał się on w pannie Katarzynie, dzisiejszej swej żonie. I jego i panny rodzice, widząc, że był letkiewicz, niebardzo nakłaniali się do tego związku; lecz gdy chłopak posmutniał, zmizerniał i obiecał ojcu, że sobie w łeb strzeli, - pozwolono mu się ożenić. Co wyrabiał wówczas, jak padał do nóg wszystkim, jak płakał i obiecywał swoją Kasię admirować do śmierci, próżnobym silił się opisać. Dość, że koniec końców nadeszło i wesele.

Zjechaliśmy się wszyscy, kto żył z sąsiadów i powinowatych. Mieścili się też, jak mogli; a że ja do tańca nieskory, usłano mi więc w altanie, abym mógł spać, nie oglądając się na gody. Jakoż około północkska odszedłem do siebie, nie najpierwszy wprawdzie, bo już i państwa młodych nie było.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że w czasie największych miłosnych paroksyzmów, przybiegał Jaś do mnie i narzekał na okrucieństwo rodziców. Wtedy, rozumie się, pocieszałem go, jakem umiał, kończąc zawsze mniej więcej tym frazesem: „Czy pamiętasz czekoladę?... Otóż powiadam ci, że tak bywa ze wszystkim; - wszystko, co nas zdaleka wprawia w zachwycenie, przejada się bardzo prędko, a czasem i niesmak zostawia.” On mi zaś na tor — „Mój panie! poznałem już, co mi do szczęścia potrzeba i wiem, że żyć bez Kasi nie mogę.”

Otóż, mówię ci, że w dniu wesela nocowałem zdaleka od dworu w altanie. Trochem zaspał i gdy na drugi dzień, zbudziwszy się około 8-ej, spojrzałem w okno, zobaczyłem Jasia, spacerującego po ogrodzie.

Dostrzegł i on mnie zaraz, przybiegł blady, rozczochrany, z podsiniąłymi oczyma i wogóle z miną desperacką. Pokręcił się po izdebce i wzdychając, usiadł.

— Cóż ci to, mówię, choryś, czy co?...

— Zdrów jestem, ale...

— No i cóż?

— Niech mnie pan tylko nie wyda z sekretu, ale — no, powiem zresztą, bo lepiej jest zawsze przed kimś serce otworzyć...

Drgnąłem ze strachu i już zirytowany trochę, krzyknąłem:

- A cóż u stu fur beczek bataljonów!... gadaj zaraz...

- Widzi pan, niema nic złego. Ja tylko chciałem powiedzieć, że... bodaj czy pan nie miał racji, mówiąc, że wszystko jest zdaleka ładniejsze i prędko się przejada.

O małym go nie wyrzucił za drzwi. Dziś żyje zdrów i kontent. Utył, ma dwoje dzieci, kocha żonę i opowiada jej niekiedy historją, jaką ci opisałem. U mnie bywa często i mówi, że jest szczęśliwy,

choć zawsze dodaje, że wszystko ładniejsze zdaleka.

Przykład ten okazuje ci jeden rodzaj złudzeń w pojmowaniu szczęścia. Kiedy niedoświadczony pragnie czegoś, nie widzi granicy swych pragnień i nie domyśla się, aby zaspokojenie mogło wywołać przesyt. To też pobudzany nieustannie przez wyobraźnię, zapomina o tem, że są inne, liczne potrzeby natury ludzkiej, obraca wszystkie siły na osiągnięcie jednego tylko celu, zaniedbuje wszystko, co leży poza jego obrębem i wkońcu rozczarowuje się: naprzód skutkiem przesyty, a powtóre skutkiem tego, że inne na jakiś czas stłumione pragnienia z nową występują siłą.

Ponieważ potrzeby ciała są najsilniejsze u ogółu ludzi, więc też i złudzenia, odnoszące się do nich i błędy, wypływające z nich, są najczęstsze. Jeden pamięta o podniebieniu, a zapomina o podeszwach i w cukierni traci pieniądze, za który należałoby sobie kupić obuwie. Inny pielęgnuje ciało, zaniedbawszy potrzeby-ducha — i wpada w nudy i tęsknotę. Inny jeszcze, nie rachuje się z nałogami i wspomnieniami, które chwilowo uspięne budzą się w razie zadania im gwałtu i nieraz na całe życie robią człowieka nieszczęśliwym. Inny wreszcie, łudząc się, że kapitał decyduje o szczęściu, goni za pieniędzmi, krzywdzi swych bliźnich, aż wkońcu odepchnięty przez nich, wlecze osamotnione i pełne utrapień życie, nierychło poznawszy, że nie wyłączone dogadzanie jednej namiętności, ale harmonijne rozwijanie i umiarkowane zaspakajanie wszystkich potrzeb ciała i duszy powinno być celem człowieka.

Aby lepiej okazać, jak zgubną bywa jednostronność w pojmowaniu szczęścia, opowiem ci historję twego stryjecznego brata Leona, jednego z najzaciejszych i najwytrwalszych ludzi, jakich znałem. Smutna to historją, lecz wielką dla was młodych mieści w sobie naukę.

Jak wiesz, ubogi on był i chorowity od dziecka. W klasach niższych odznaczał się spokojem i cierpliwością, w wyższych wytrwałą pracą; zdolności rozwijały się w nim bardzo powoli.

Między jego nauczycielami był S... uczeń Lelewela, zapamiętały w swym przedmiocie i umiejący doń młodzież zachęcić. Leon też najwięcej pracował nad historją, najczęściej, bo po całych dniach, siadywał u S. i tyle skorzystał, że ukończywszy gimnazjum postanowił napisać taką „historją polską, jakiej nikt jeszcze nie napisał.” Są to jego słowa.

Szczerze ja chciałem posłać go do uniwersytetu, ale sam wówczas byłem w bardzo złem położeniu. Pojechał więc biedaczysko na lichą guwernerkę na lat trzy i zebrawszy coś około 2,000 złotych, ruszył do Kijowa. Ten kapitalik rychło poszedł na książki; że zaś w chłopcu dawny pociąg do nauk zmienił się już w namiętność, nie chcąc zatem tracić czasu, nie starał się o korepetycje i wskutek tego bardzo nędzne życie prowadził.

W wilgotnej izbie na poddaszu, o głodzie i chłodzie czytał i notował po całych dniach i nocach; skończył wreszcie uniwersytet z odznaczeniem i wrócił do kraju z suchotami.

Poprawiły się już wtedy moje interesa, mogłem więc i chciałem ratować chłopca, ale on psuł wszystko nadmierną pracą; pracował bowiem od 16—18 godzin na dobę. Chowałem mu papiery i książki, ale wtedy kładł się w łóżko i nic jeść nie chciał; sprowadzałem młodzież, ale wtedy uciekał do lasu. Tylko towarzystwo kobiet robiło na nim niejakie wrażenie; przy nich odkładał książki, śmiał się i rozmawiał.

Jedna osobliwie panienka wpadła mu w oko, nawet jej asystował przez dni kilka, lecz gdy pewnego razu napomknąłem mu o małżeństwie, zamyślił się, mruknął: „już za późno” i zaczął czytać na nowo. Od tej pory unikał kobiet a nawet rozmowy o nich, - dziwaczał coraz bardziej, aż wreszcie i do łóżka się położył na dobre.

Straszliwie postępująca choroba nie zmieniła trybu jego życia. Wiedział o niej, ale mówił, że nie ruszając się z łóżka i dobrze jedząc, pożyje jeszcze lat kilka i swoją pracę dokończy.

- Niedługo już - mówił - musi mi wuj sprowadzić pisarza; ja mu zacznę dyktować z notatek i

wydam choć jakąś część mojej pracy.

Tymczasem notatki rosły i rosły, a śmierć już kołatała do drzwi. Aż i sam wreszcie przestał czytać, ciągle się jednak łudząc, że za dni parę przejdzie osłabienie i on na nowo weźmie się do roboty!

Dnie i noce spędzałem w jego pokoju, czuwając, rychło ducha wyzionie. On kaszłał, pluł, śmiał się chrapliwym głosem ze swoich, jak mówił, wakacyj i w ciągłej gorączce marzył o historii, na nowych zasadach opartej.

Jednej nocy, drzemiąc w fotelu naprzeciw jego łóżka, usłyszałem jakiś głos i ocknąłem się strwożony.

— Wuju! wuju! — zawołał — z tego już nic nie będzie!...

— Co ci jest, Leonie? — spytałem, myśląc, że mówi przez sen.

— Nic już nie będzie z mojej historii, bo ja umieram!...

O gdybyś słyszał głos, jakim wymówiono te słowa! Gorzkom zapłakał pierwszy raz od lat trzydziestu.

Od owej chwili począł konać, przytomnie, z największą rozpaczą; wówczas bowiem dopiero poznał, że całe jego życie marnie zostało stracone.

Rozpamiętywając te rzeczy, często pytałem: takż to jest śmierć sprawiedliwego? późniejsza jednak rozważa inne mi nasunęła myśli.

Życie tego człowieka było wielkim bezprawiem, buntem przeciw naturze. Stargał on prawo harmonijnego rozwoju wszystkich władz istoty ludzkiej, zniszczył ciało na korzyść potęgi ducha i dlatego zginął. Inni życie swoje przekazują potomstwu, on już nic nie mógł przekazać. Inni mniejszy zapas wiedzy udzielają społeczeństwu i żyją w jego wspomnieniach, on ze swej kolosalnej pracy ani źdźbła ludziom nie pozostawił i rozproszył się jak mgła. Powiadam, że znikł bez śladu, ponieważ mając ogromną pamięć, robił bardzo poskracane wyciągi, a swoje poglądy pisał jakimś tajnym alfabetem, widocznie lękając się, aby mu kto myśli nie wykradł.

A teras sam powiedz, czy wyłącznie duchowe szczęście nie jest złudzeniem?

Widziałeś dotąd manjaków, pomieszanych na punkcie trwałości i wyłączności szczęścia; mieli oni upodobanie do jednej jakiejś rzeczy, nią się czas dłuższy lub krótszy wyłącznie zajmowali, o wszystkich innych potrzebach natury ludzkiej izapominali, sądząc, że zaspokojenie jednego pragnienia zupełnie im wystarczy. Obecnie pokażę ci inny typ ludzi, którzy łudzą się tem, że życie może i powinno być nieprzerwanem pasmem przyjemności, a przynajmniej być wołnem od przykrości.

Żyje i lamentuje po dziś dzień w jakiejś podlaskiej wioszczynie Karol, eks-wojskowy, eks-laik i eks-gospodarz, istna chorągiewka na dachu, która nieustannie skrzypiąc, zwraca się na wszystkie strony, a nigdzie nie może znaleźć wytchnienia. Z niczego nie kontent w terażniejszości, wiecznie wzdychający za przeszłością, pełen nadziei na przyszłość, — wszędzie był, wszystkim się naprzód zachwycał i wszystko następnie rzucał, tłumacząc każdemu, że on nie chce rzeczy wielkich, nie ludzi się co do doskonałości ziemskiego szczęścia, ale tylko szuka chleba i stałego pokoju.

Już w szóstej klasie doczekał się węsów i biegał za dziewczętami, — wygnano go więc ze szkół. Po tem wydarzeniu zjechał na gospodarkę do ojca, ale że stary był prędki i bawił go rzemieniem, uciekł z domu i wstąpił do wojska. W miesiąc niespełna pisał stamtąd, błagając w imię ran boskich rodziców i krewnych, aby go wydobyli; jakoż wysłuchano go, i po dwu latach znowu do gospodarstwa powrócił. Że był pobożny i mieszkał blisko miasta, regularnie więc na majowe nabożeństwo biegał i tak upodobał sobie klasztor oo. kapucynów, że już na początku czerwca był laikiem. Ale i tam popasał niedługo, gdyż po dwu tygodniach wypędzili go ojcowie.

Wówczas to poznałem go osobiście; mówił mi, że klasztor to więzienie, a wojsko to ananas.

- Dlaczegoż nie zostałeś w wojsku? - pytam.

- A bom był głupi! - odrzekł mi.

Niedługo znalazł sobie jakąś wdowę, coś o lat 10 starszą od niego i ożenił się wbrew woli ojca. Stary z początku huczał, ale, w duchu może kontent, że się pozbywa zawalidrogi, przebaczył mu i dał błogosławieństwo, odebrawszy wzamian najuroczystsze zapewnienie, że syn odtąd poprawi się i usatkuje.

Jakoż usatkował się, bo niespełna w pół roku piechotą przyleciał do domu. Gadają, ale nie twierdzą napewno, że zemknął, bo jejmość za nim sprzętami ciskała; pewniejszem jest, że mu ojciec za tę sztukę imieniny wyprawił. Dziś, pono już trzecim nawrotem bawi u jejmości, ale okrutnie robak smutny i niedługie mu życie wróżą.

Spotkałem go raz na jarmarku; o mało mi głowy nie rozklekotał swojemi skargami. Wysłuchawszy go, rzekłem:

— Człowieku, wejrzyj w siebie! boć jeżeli wszędzie ci źle było, to widocznie w tobie samym jest przyczyna złego.

— Ach, panie mój — odpowiedział — wszystko wytrzymam — wojskową musztrę, szkolne wykłady, klasztorne godzinki, tylko kobiecej gadatliwości wytrzymać nie mogę, takie już dziwne są moje nerwy.

Pożegnałem go. Oj, te nerwy! o których nie słyszano dawniej - te nerwy i w grobie nie dadzą wam spokoju!

Streszczając moją gawędę o złudzeniach w pojmowaniu szczęścia, powiem ci, co następuje:

Naprzód, nie wierz temu, aby jakiegokolwiek pragnienie ludzkie nie miało granic; każde ją ma, a granicę tę stanowi przesyt. Znajdziesz więc przesyt w jedzeniu i piciu, w patrzeniu i słuchaniu, w ruchu fizycznym, w marzeniu i w rozumowaniu - wreszcie w stosunkach z ludźmi i w miłości.

Powtóre, nie wierz temu, abyś zaspakajając jakieś pragnienie, zaspokoił je na długo, albo zagłuszył inne. Gdzie tam! Dziś się najadłeś, jutro głodny będziesz, - dziś się zabawiłeś, a jutro znowu bawić się zechcesz. Z drugiej znowu strony, zaspokojenie oka nie zaspokoi ucha, zadowolenie rozumu nie zadowolni serca.

Po trzecie, nie wierz temu, aby jakakolwiek rzecz była na świecie doskonałą; każda bowiem ma swoje dobre i złe strony. Książka jest ciekawa i nauczająca, lecz kosztuje pieniądze, zabiera czas i niezawsze skierowuje myśli tam, gdzie potrzeba. Marzenie pobudza i rozwesela, lecz znowu zabiera czas i osłabia energją umysłu. Kobieta jest piękna, tkliwa i t. d., lecz i jej nie brakuje ułomności, o których wolę zamilczeć.

Nakoniec po czwarte, nie wierz temu, aby życie ludzkie mogło być choć przez tydzień pasmem spokoju i zadowolenia, — jest ono. bowiem płataniną radości i smutków, zapałów i zniechęceń, dostatków i braków. Nie o tem więc myśl, aby usunąć wszystko złe, ale o tem, aby złe sprowadzić do jak można najmniejszej ilości, aby usunąć to, co dla nas jest lub może być najprzykrzejsze, a mężnem sercem przyjąć to, czego usunąć nie możemy.

Zkolei powiem ci o ludziach, którzy nie goniąc za urojonem szczęściem, obierają sobie cele praktyczne i wogóle możliwe, lecz łudzą się co do warunków, przy jakich cele owe mogą być osiągniętymi.

Podobnie jak chcąc wymierzyć pole, potrzeba wyuczyć się matematyki, rysunków, miernictwa i umiejętnie w olanej chwili posługiwać się nabytymi wiadomościami, tak również chcąc dojść do jakiegoś celu w życiu codziennem, należy znać dokładnie wszystkie warunki, potrzebne dla jego osiągnięcia, i warunki te wytwarzać we właściwej porze, zapomocą sił i środków, będących w

naszym posiadaniu. Zwykle jednak poprzestajemy tylko na nakreśleniu jakiegoś planu odległego często na lat kilka i kilkanaście i zamiast robić wszystko to w teraźniejszości, co jest niezbędne dla rezultatów przyszłych, robimy właściwie to, czego chcą nasze nałogi lub upodobanie chwilowe. Co zaś jest najzabawniejszym, że wówczas właśnie sądzą, jakoby postępowanie nasze najdokładniej odpowiadało planom.

Krewny nasz, Stanisław, umyślił zostać inżynierem i pojechał do jakiejś niemieckiej szkoły politechnicznej. Szczęście wogóle sprzyjało mu, lecz on sam robił bardzo niewiele. Gdy inni słuchali wykładów, on słuchał ogródkowej muzyki, gdy inni rysowali, on tańczył — gdy inni chodzili na studia, on chodził na majówki. Z pierwszego kursu przeszedł, na drugim został, aż w końcu wrócił do domu na gospodarkę, złorzecząc Niemcom, że pracy jego nie umieli ocenić. Dziś, ożenił się bardzo szczęśliwie i w swojej okolicy robi efekt, jest to bowiem chłopak w gruncie dobry, wygadany i niegłupi; zbiera zatem owoce swego wykształcenia, lecz nie jako inżynier, ale jako światowiec. Niemniej jednak Stanisław sądzi, że mógł być znakomitym inżynierem, tylko że mu los nie dopisał.

Łatwo poznasz, z jakich źródeł tego rodzaju złudzenia pochodzą, oto naprzód ze zbytnej wiary w siebie, powtóre z wiary w opiekę losu, po trzecie z nieznamości praw, kierujących życiem codziennym.

Inny, podobny Stanisławowi facet, niejaki Adam, dziwił się niewymownie temu, że on, który miał w szkołach opinią najzdolniejszego, nie ukończył uniwersytetu, zaś jeden z jego kolegów powszechnie „mułem” nazywany ukończył z odznaczeniem.

- Za cóż to nazywaliście biedaka mułem? - pytam Adama.

- A za to, uważa pan mój, że bez względu na niedzielę, święta i wakacje, po całych dniach robił.

- Ileż też godzin pracował dziennie? - pytam znowu.

- Najmniej po 10 - odpowiada. - A ty ile robiłeś?

- Ja nie robiłem codzień - nie potrzebowałem robić codzień! Dla mnie było dosyć na miesiąc przed egzaminami zabrać się do czytania. Coprawda - dodał - pracowałem wówczas średnio po godzin 16!

- Ot widzisz - rzekłem mu - dlaczego mimo zdolności nie skończyłeś uniwersytetu! Muł uczył się w ciągu roku godzin 3,650, ty zaś według własnego świadectwa, tylko 480, pracował zatem 7 razy więcej i zapewne umiał też 7 razy więcej od ciebie.

— Ale — oburzył się Adam — pan nie bierzesz w rachubę zdolności!...

— Przypuśćmy, odpowiedziałem, że byłeś 3 razy zdolniejszy od niego, to znaczy tylko, że twoje 480 godzin pracy warte są tyle, co jego 1440, a i wtedy jeszcze wypadłoby, że muł musi blisko 3 razy więcej umieć niż ty!

Oj młodzi, młodzi! jak często wy zapominacie o słowach pewnego wielkiego człowieka, „że cierpliwość jest genjuszem,” i że nie łatwość zapamiętania, ale wytrwałość cechuje ludzi znakomitych!

Poznawszy indywidua, łudzące się co do swej osobistej wartości, zobacz teraz ludzi nieograniczenie ufających w opiekę losu.

W jednym z naszych miasteczek żyje po dziś dzień pani M., wdowa emerytka, która od dwunastu lat większą połowę swego dochodu obraca na loteryj. Radzono jej, aby oddawszy dzieciom swój grosz emerytalny, zamieszkała u nich, przez co i im dopomoże i sama mieć będzie wygody; ale uparta staruszka ani chce słyszeć o tem, co pół roku bowiem spodziewa się, że wygra 100 tysięcy. Wprawdzie od czasu do czasu wraca jej się stawka, lecz jejmość zamiast grosz obracać na potrzeby domu, dokupuje na nowo bilety i coraz większe do loterji zakłada pretensje.

Ile to ona dobrego ludziom robi, jak wygra, ilu ubogich wspomóż, ile kościołów wyrestauruje,

ile da posagu najmłodszej córce swojej, - tego wszystkiego nie spisałbym na wołowej skórze. Dziś tymczasem, ubodzy odchodzą od jej progu z gołymi rękami, na dworcu dach zacieka, córka oddawna została starą panną, a jej matka często chodzi bez trzewików i wyglądając lepszych czasów, żywi się kartoflami, które miłośnierny sąsiad na swym ogrodzie sadzić jej pozwala.

Muszę ci w tem miejscu powiedzieć, że życie nasze ma w sobie wiele podobieństwa do gry loteryjnej i że nasze plany, które wyobrażnia przedstawia nam jako pewne, są wogóle dość wątpliwe, a nawet dość nieprawdopodobne. Nietylko zatem owa emerytka ludzi się opieką losu; znaleźlibyśmy bowiem łatwo ludzi młodych i ukształconych, którzy również oddają się podobnym złudzeniom.

Mówiłem ci, że twój stryjeczny brat Leon jechał do uniwersytetu w nadziei, że zostanie znakomitym historykiem. Ty sam ukończywszy gimnazjum, obiecywałeś sobie zostać wielkim matematykiem, a we dwa lata po tobie, Kazimierz miał zamiar zostać wielkim lekarzem. Co zaś do krewniaka naszego Stanisława, to ten, wyjeżdżając zagranicę, wszem wobec i każdemu z osobna dowodził, że powróci stamtąd największym inżynierem naszych czasów. I otóż z pomiędzy czterech osób, mających plany podobne, ani jeden nie został tem, czem chciał być, dwu bowiem stanęło w połowie drogi, jeden się zmarnował, a jeden rozczarował! A dlaczego tak się stało? Dlatego, że jak w loterii, tak i w życiu tylko na pewien procent biletów przypadają większe wygrane. Z tysiąca matematyków kilkunastu zaledwie zyskują jaki taki rozgłos, a może jeden opinią geniusza. Z tysiąca bankierów, kilkunastu zaledwie przekazują rodzinom znaczniejsze majątki, a jeden tylko trafi się między nimi Rotszyl. Tymczasem prawie wszystkie młode kupczyki obiecują sobie zostać milionerami, i prawie wszyscy studenci, przynajmniej z dwu niższych kursów, chorują na uczość. A ileż to podobnych pretensyj sprzeciwia się nawet prawom natury! Iluż to utracjuszków ma nadzieję pozyskać majątek, ilu brzydalów szuka romansowej miłości, ilu jękatych chce zostać tenorami, ilu garbusów wybiera się na baletmistrzów!...

Z tego wszystkiego, co ci od początku aż do chwili obecnej mówiłem, łatwo już poznasz, dlaczego nas spotykają zawody: oto między innymi dlatego, że się nazbyt często ludzimy. Ludzimy się w pojmowaniu natury szczęścia, w pojmowaniu praw, kierujących życiem, a wreszcie w pojmowaniu naszej osobistej wartości. Jeżeli zaś zapytasz, co jest przyczyną tych złudzeń, odpowiem, że jest nią nieznanomość życia codziennego.

Widzisz zatem, jak ważną jest sztuka życia, trzeba się jej uczyć, jak uczymy się grać, tańcować, czytać i t. d. Lecz wy, młodzi, nie zastanawiacie się nad życiem, zbadanie jego odkładacie na później, ufni w to, że czas zrobi swoje, a przymioty waszego rozumu i serca dopełnią reszty. Tymczasem zaś i ta ufność opiera się na złudzeniu, jak to przykład następujący okaże.

Kolegował ze mną w uniwersytecie niejaki Tomasz, którego nazywano Katonem, ponieważ surowo potępiał błędy innych i często mawiał: „Wolałbym się zabić, niż stracić u ludzi szacunek.”

Będąc już na trzecim kursie, stracił on ojca, człowieka szanownego, po którym zostało nieco grosza, sprzętów i kosztowności. Syn odziedziczył to wszystko, a wyplakawszy się i wymodliwszy, począł używać pieniędzy, które za życia ojca bardzo nieczęsto widywał.

Jednocześnie z pieniędzmi zjawili się i towarzysze do zabaw; byli to różni paniczkiowie, młode oficerki, bogatsi koledzy i t. p. Tomasz odwiedzał ich, oni jego - podejmował ich, oni jego - pożyczal od nich, oni od niego, słowem - hulał całą gębą.

Widząc, że zanadto wydaje, ostrzegaliśmy go, radziliśmy, aby długów nie zaciągał i aby zerwał stosunki, które do niczego dobrego nie prowadzą; lecz on, przybrawszy surową postać, rzekł nam:

- Cóżto, lękacie się, abym nie został podłym? Dajcie pokój, wiem ja, co znaczy honor, i nigdy go nie splamię!

Powoli jednak nikły pieniądze, a z nimi i honorowość Tomasza; brnął w długi, nie oddawał na termin, jednych wierzycieli za drzwi wypychał, przed innymi sam uciekał, krótko mówiąc — rozłobuzował się chłopak.

Znowu poczęliśmy go strofować, a on usprawiedliwiał się przed nami; w jaki sposób robił to, już dobrze nie pamiętam, dość że wkońcu każdej rozmowy okazywało się, iż honor jego jest i pozostanie bez plamy. Taką on miał przynajmniej opinią o tej rzeczy.

Tymczasem jednak mimo nasze upomnienia, mimo własne dobre chęci i piękne teorje, nurzał się Tomasz coraz głębiej w rozpuście i nieprawościach, aż wreszcie zostawszy jakimś urzędnikiem, poważił się wyciągnąć rękę do publicznego grosza.

Traf zdarzył, że obrony jego w tej brzydkiej sprawie podjął się jeden z naszych kolegów, podówczas będący adwokatem. Ten, w rozmowie, począł wyrzucać Tomaszowi złe postęпки i przypomniał mu zdanie jego własne: „wolałbym się zabić, niż stracić szacunek u ludzi.” Lecz cóż powiesz? Serce Tomasza było już tak zepsute, że wtedy jeszcze chciał się uniewinniać i dowodzić czystości swego honoru!...

Oto widzisz, do czego prowadzi zbyt duża ufność w siebie, zamykanie oczu na grzechy niby to drobne, a wreszcie odkładanie poprawy na jutro. Wiem ja na pewno, że i Tomaszowi nieraz sumienie robiło wyrzuty, że chciał się pohamować, lecz na nieszczęście wszystko do jutra odkładał!

Teraz wiesz już zapewne, dlaczego jesteś rozczarowanym, niezadowolonym i ubogim? Oto dlatego, że zamiast rozmyślać nad życiem - łudziłeś się, a zamiast pracować nad zaspokojeniem wszystkich potrzeb natury ludzkiej, zaspakajałeś tylko popęd do wiedzy zapomniawszy o innych.

Przyczyny tego rodzaju błędów tkwią w niepraktycznym wychowaniu; wasi bowiem rodzice i nauczyciele zamiast od dzieciństwa zaznajamiać was z życiem, zamiast uczyć obserwować siebie i swoje otoczenie, - zachęcali was tylko do książek, myśli wasze skierowywali do teorji, jeżeli nie do urojeń i tym sposobem zbudzili w was obojętność, a nawet pogardę dla życia codziennego.

Skutkiem tak przewrotnego wychowania, staliście się dziwolągami; wasze zabawy są rozpustą fizyczną, a wasza nauka rozpustą duchową. Skutkiem też tego, więcej zajmują was mrówki i wymoczki, niż ludzkie społeczeństwo, drobiazgowiej badacie roślinę albo kamień, aniżeli własnego ducha i lepiej znacie prawa natury, niż obowiązki człowieka. I mimo to, chcecie kierować społeczeństwem, chcecie ślepym wskazywać nowe drogi — wy, lunatycy!

Widzisz zatem, że chcąc, o ile można, być szczęśliwym i użytecznym, musisz zmienić dotychczasowy tryb postępowania. Dotychczas marzyłeś, odtąd musisz badać siebie i swoje otoczenie. Dotychczas celem twym było urzeczywistnienie idei, Bóg wie na jakim gruncie wyrosłych, odtąd celem twoim musi być zaspakajanie potrzeb własnych i społeczeństwa, pośród którego żyjesz. Dotychczas myślami twymi kierowały ślepe nałogi, a otoczeniem wypadki, odtąd i myślami i otoczeniem kierować musi twoja wola, oparta na pozytywnej wiedzy.

Bierz się więc niezwłocznie i po męsku do tej ciężkiej lecz użytecznej pracy, do której wskazówki podam ci w następnym liście.

Przygotowano na podstawie bookini.pl